№ 46. Warszawa, dnia 16-go Listopada 1908-go roku. Rok XLIV



BLUSZCZ

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie miesiecznie kop. 60, kwartalnie rub. 1 kop. 80; półrocznie rub. 3 kop 60; rocznie rubli 7 kop. 20.

Na Pradze w księgarni S. Rzymskiego, Wileńska, 4.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie: rocznie rub. 10, kwartalnie rub. 2 kop. 50.

Cena numeru pojedyńczego kop. 20.

Wychodzi pod kierunkiem literackim

Zofii Seidlerowej.

Ekspedycya główna: ulica Nowy-Swiat, 41.

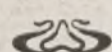
Ogłoszenia przyjmuje Administracya „Bluszczu" po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austryackiem: we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie złr. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cent- 50.

W Krakowie u D. E. Friedleina; kwartalnie złr. 2 cent. 75, na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 cent. 50.

W W. Kś. Poznańskiem dla abonentów „Dziennika Poznańskiego." w Poznaniu kwartalnie 3,60 mk.; z przesyłką pocztową 4,30 mk.

Praca współdzielcza.



„Mierzyć, ważyć, liczyć!" — takiem było hasło zjazdu, który świeżo odbył się w Warszawie.

A jednak działalność stowarzyszeń współdzielczych nie zamyka się w obrębie czterech działań arytmetycznych. Jest ona praktyczną — tak, ale przez swą praktyczność właśnie — ideową.

Zasadą stowarzyszeń, których sieć coraz gęściejsza kraj nasz pokrywa, jest: pomagając bliźniemu, pomagać jeszcze bardziej sobie samym. Ideą tych zrzeszeń, dokonywanych w imię ekonomicznych interesów jest wychowywać obywateli, gdyż, dla osiągnięcia swych zadań, kooperatywy przedewszystkiem potrzebują rozwoju uczuć obywatelskich, aby nie było „kramarstwa bez duszy", aby miedziaki, składane przez spracowane ręce, mogły się zamienić na „czyste" złote, aby sumując cyfrę uczestników, można było liczyć nie na głowy, lecz na mózgi i serca.

Z praktycznych, poziomych rzekomo celów tych stowarzyszeń wykluczona wszelka polityka, wszelkie partye.

Zrzeszeni stanowią jedną partyę — ludzi pracy i wytrwałości.

Stowarzyszeniom przewodniczy szeroko pojęta idea chrześcijańska — współdziałania wszystkich dla dobra ogółu, a tem samem i jednostki; dalej walka z naszemi wadami narodowemi, z lenistwem, z rozrzutnością, z pogardą dla — kredki, a w dalszej konsekwencyi tej walki: wytworzenie nowego typu Polaka, który nie zakłada rąk biernie w oczekiwaniu jutrzenki swobody, Polaka, który nie szybuje w obłokach ani nie pełza po ziemi, lecz po niej stąpa krokiem pewnym i wciąż idzie naprzód.

Zadania poziome z celami idealnemi tak są ściśle zespolone w kooperacyi, że pola, otwarte dla ducha, stykają się z granicami pól, zasianych pod chleb powszedni.

Barbarzyńcy, idąc na bój, kazali się wiązać pomiędzy sobą żelaznemi łańcuchami. Żołnierze Napoleona skuci byli ze sobą straszliwą solidarnością wojskową, która się zwie — dyscypliną. Stowarzyszenia spółdzielcze skuwa nietylko dążenie do wspólnych korzyści ekonomicznych, lecz i poczucie zbiorowego społeczeństwa. Każdy w tym wielkim gmachu, wzniesionym wspólnie, czuje się cegiełką, podtrzymującą budowę, każdy rozumie, że dobro społeczne, to jego własne dobro, i to przekonanie popiera czynem.

Idea solidarności krzewi się coraz bardziej na świecie. Do jej rozwoju przyczyniły się i nauki przyrodnicze—odkryciem mikrobów. Odtąd wie każdy, że jego zdrowie i życie są zależne w znacznej mierze nietylko od zdrowia sąsiadów, od zdrowia współobywateli, lecz i od każdego napozór drobnego i nieznaczącego czynu z jego strony, naprzykład plunięcia na podłogę i posiania tym sposobem bakcylów tuberkulicznych.

Wszystkie wynalazki — koleje, telegrafy, telefony, tunele, prasy parowe, umożliwiające sprzedaż dzienników po parę groszy — wszystko to zacieśnia węzły solidarności narodowej i międzynarodowej, dając ludziom możność szybkiego porozumiewania się, zbliżając ich do siebie wzajem, pozwalając odczuwać równocześnie wspólne interesy, wspólne wzruszenia, co wszystko razem daje rodowi ludzkiemu świadomość swej łączności.

Tę świadomość utrwala i zacieśnia praca wspólna ku wspólnym korzyściom.

Pomaga też ona ludziom ze sobą zrzeszonym wyzwolić się z pod gniotu, przytłaczającego konsumenta. Tym gniotem jest pośrednik.

Dążeniem kooperatyw jest związanie węzłem nierozerwalnego małżeństwa konsumenta z producentem, uczynienie z handlu nie *wyzysku*, lecz zysku.

To też kooperatyści w Anglii przezwali się sprawiedliwymi—*equitables*. Tę nazwę przyjęły inne kraje.

Myśl zetknięcia bezpośrednio producenta ze spożywcą powstała w Anglii. Urzeczywistnili ją praktycznie po raz pierwszy w roku 1844 tkacze angielscy w mieście Rochdale, zakładając pierwsze stowarzyszenie spożywcze, z którego czysty zysk obracali na cele wspólne, tworząc kapitał gromadzki.

Zaczęli od skromnej piekarni a dziś, po latach 60, kooperatywa kroczy po całej zachodniej Europie w pochodzie tryumfalnym, organizując w Anglii, Belgii, we Włoszech, miljonowe rzesze, stwarzając coraz to większe i rozmaitsze kręgi produkcyi na użytek spożywców.

W Anglii w roku 1904 było 2,200,000 czł. należących do stowarzyszeń współdzielczych. Majątek wspólny wynosił 280 miljonów rubli, zysk czysty 103,426,000 rb., suma sprzedażna wynosiła 800 milionów.

W Niemczech w tymże roku było 24,061 stowarzyszeń z ogólną liczbą 1,300 000 członków. W Danii 1000 stowarzyszeń — 200,000 członków, we Włoszech połowa, a w Belgii jedna czwarta całej ludności należy do kooperatyw.

A u nas?

Przedewszystkiem, czy my, „zdolni jedynie do pługa, my naród poetów i literatów" potrafimy „mierzyć, liczyć, ważyć?" Wątpliwości te rozstrzygają fakty, a świadczą one wymownie, że nie pochlebił nam na międzynarodowym kongresie kooperatystów uczony Anglik, dowodząc, że jesteśmy „urodzonymi kooperatystami". Mówił o Polakach w Poznańskiem, ale i Królestwo Polskie wykazało niepospolite zdolności kooperacyjne.

Stowarzyszenia spółdzielcze istnieją od lat trzech a rezultat taki: w gub. piotrkowskiej, gdzie idea kooperacyi znalazła grunt najpodatniejszy, istnieje już 156 stowarzyszeń z 12 000 członków, z rocznym obrotem 5 miljonów rubli (prawie połowa ogólnego obrotu w Królestwie Polskiem).

I nie dziw, to okolica najbardziej przemysłowa, a przyczynia się także do pomyślnego w niej rozwoju kooperatyw i to, że jednostki, tworzące tam stowarzyszenie, są pod względem swych potrzeb jednorodne, są to wyłącznie robotnicy; dlatego kapitał może nie być rozproszony. Członkowie płacą tam większe składki niż gdzieindziej: wówczas gdy w innych guberniach przeważają 5-rublowe udziały, tu bywają one 10-rublowe. Kapitał obraca się 10 do 11 razy rocznie. Przyrost członków jest znaczny. W ciągu dwu lat ostatnich liczba ich zwiększyła się o 13%.

Następne miejsce w kooperatywach, po gub. piotrkowskiej, bierze łomżyńska, dalej idzie kaliska, radomska. Gub. warszawska liczy 125 stowarzyszeń — jestto mniej, niż w każdej z przytoczonych powyżej gubernii, ale za to w samej Warszawie ruch współdzielczy coraz szersze zatacza kręgi. Dzieje się to głównie za sprawą ks. Marcelego Godlewskiego i dzięki propagandzie idei współdzielczej wśród „Stow. robotników chrześcijańskich“ prowadzonej przez p. Kazimierza Rakowskiego.

Od grudnia roku zeszłego, to jest od chwili zatwierdzenia ustawy tego stowarzyszenia, powołało ono dziewięć sklepów kooperacyjnych we wszystkich dzielnicach miasta od ulicy Śto-Krzyzkiej do Ząbkowskiej na Pradze. W sklepach wpłacano ogółem 10 tysięcy rubli na udziały. Obroty dzienne wynoszą od 50—250 rb. stosownie do pory roku i sklepu. *Na kredyt nie daje się nigdzie.* Liczba udziałów dosięga 1500. Wszystkie sklepy noszą jednakową nazwę, a mianowicie: „Sklep robotników chrześcijańskich“. Organizują się jeszcze trzy nowe: przy ulicy Okopowej, Solec i na Starem Mieście.

Ogółem, w istniejących 9-ciu sklepach było w ciągu 1907 roku towaru za 114,558 rb. Ogólny czysty zysk wyniósł 3193 rb. Wcale nie mało, jak na początek. Główną rzeczą, iż myśl została zaszczepiona społeczeństwu, że zbudził się już prąd w kierunku wytwarzania wspólnych oszczędności, w kierunku pracy zbiorowej.

Takie są ogólne zadania ruchu współdzielczego, takie, w bardzo pobieżnem przedstawieniu, rezultaty osiągnięte dotychczas.

A teraz — o zjeździe samym.

*

* *

Urządzony przez warszawskie Tow. kooperatystów a głównie staraniem p. Stanisława Woyciechowskiego, redaktora „Społem“, zjazd obradował przez cztery dni. Przybyło nań 411 delegatów, reprezentujących 240 stowarzyszeń spółdzielczych, wyłącznie spożywczych.

W sali, przepełnionej szczelnie przedstawicielami i przedstawicielkami wszystkich sfer społecznych, od włościan do pań z arystokracyi, otworzył Zjazd gorącemi słowami przewodniczący mu redaktor „Słowa“, p. Antoni Donimirski.

Bardziej od kogokolwiek u nas powołany był do tego. Już przed laty 30 tu, będąc posłem do parlamentu niemieckiego, przewodniczył na zjazdach delegatów stowarzyszeń współdzielczych w Gnieźnie i w Inowrocławiu, zakładał kooperatywy kredytowe w Poznańskiem, znał osobiście ojca duchowego tych zrzeszeń Schultze-Delitscha i dużo cennych wskazówek z ust jego zaczerpnął. Otóż, zagajając Zjazd, redaktor Donimirski mówił:

— „Zwołali was tu nie ludzie, których nazwiska są wam nieraz mało znane, zwołała was tu — praca. Gromadzimy się około myśli przewodniej, która na Zachodzie skupia miliony. Tę myśl rzucił pierwszy Robert Owen w Anglii, przyjęła się ona jednak wtedy dopiero, gdy ją zrozumieli robotnicy. My przystępujemy do tej pracy po innych, więc możemy korzystać z ich doświadczeń. Chodzi tu o żołądek robotnika; dotychczas był śmietnikiem, w który sklepikarze wrzucali najgorsze odpadki. Chodzi o wychowanie konsumenta, o wszczepienie mu przekonania, że tylko to, co jest drogie, jest tanie. A gdy potrzeby materyalne zostaną zaspokojone, tem samem podniesie się oświata. Zadania kooperatyw są więc nietylko ekonomiczne, ale i kulturalne“.

Następnie zabrał głos p. Woyciechowski i skreślił historyę stowarzyszeń współdzielczych zagranicą i u nas.

Mówił o koniecznej potrzebie wytworzenia związku stowarzyszeń — centrali. To będzie decydować o dalszem powodzeniu kooperacyi. Wyłuszczał, że wszelka partyjność i wszelka robota polityczna winny być wykluczone ze stowarzyszeń, a na dowód, iż polityka przeszkadza w robocie współdzielczej, przytaczał i wymieniał te stowarzyszenia, które powstały na gruncie stronniczym — wszystkie one wiodą marny żywot. Stronniczość przeszkadza też w wytworzeniu zrzeszeń. Widzimy to nietylko u nas, ale w Hiszpanii, gdzie kooperatywy są w ręku przeważnie anarchistów, w Belgii, gdzie prym trzymają w nich socyaliści. I tu i tam rozwijają się gorzej, powolniej niż we Włoszech, w Szwajcaryi, Anglii i Francyi, w których to krajach kooperatyści nie wprowadzają czynnika politycznego do swych prac współdzielczych.

Takie były ogólne wskazania.

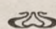
Potem rozpoczęły się referaty specyalne. Była mowa: o rachunkowości, o cukrze, herbacie, kawie, tytoniu, soli, towarach łokciowych, o korzeniach i owocach południowych, o fałszowaniu artykułów spożywczych (z pokazami), o urządzaniu i porządkowaniu sklepów, o kontroli subjektów sklepowych.

Przedmioty, zdawałoby się specyalne i nudne — dla profanów, a jednak słuchało się ich z zajęciem, dzięki barwnej wymowie prelegentów, nie mówiąc już o tem, że interesowani słuchali tych wykładów z wielkim dla siebie pożytkiem.

Długie posiedzenie było poświęcone sprawie kredytu. Oświadczono się stanowczo przeciw niemu, a to ze względów i ekonomicznych i pedagogicznych.

Półsłówka.

(FELJETON).



Zgoda przy akcie społecznym. — 22 miliony. — 360 milionów. — Bojkot książek. — Testament.

— Powiedz mi, skąd się wzięła taka idealna zgoda pomiędzy partyami w kwestyi szkolnej? Deklaracyę podpisali przedstawiciele wszystkich trzech głównych stronnictw.

— Stała się rzecz naturalna. Szło o kwestyę *ogólną*, więc głos zabrał *ogół*, to jest wyrażono jedno jedyne zdanie, jakie w społeczeństwie było.

— Dlaczegóż jednak w tylu kwestyach ogólnych lat ostatnich partye darły się pomiędzy sobą o byle drobnostkę.

— Właśnie dlatego, że były to drobnostki, a nie kwestye ogółu narodu. Skoro w społeczeństwie jest co do danej kwestyi kilka *różnych* poglądów, — dowodzi to, iż *rzecz* nie jest *pospolitą*, a szczegółowo leży w interesie jakiejś cząstki społeczeństwa, — dlatego inne cząstki, czyli partye, protestują. Stąd wniosek: różnice partyjne dowodzą istnienia na porządku dziennym różnolitych, prywatnych interesów, — zgoda — dowodzi zjednoczenia tych spraw, uspołecznienia ich.

— Taką drogą dojdziemy do konkluzyi, że partyjność jest funkcyą przejściową, znikomą.

— I to bardzo.

. . . .

— Czego się cieszysz?

— Słowianie górą!

— Gdzie?

— W Austryi. Przyłączenie Bośni i Hercogowiny daje w państwie ogromną przewagę żywiołowi słowiańskiemu: będzie nas tam razem 22 miliony na 50 ogólnej liczby, w czem niemców 11 milionów, a węgrów 8.

— Cóż z tego? Jednak monarchia jest austryacko-węgierska, t. j. należy do 19 milionów, gdy 22 miliony słowiańskie są przez dwa te narody eksploatowane. Czem to się dzieje? Czyżby ta przeklęta l'improductivité slave?

— Bynajmniej. Słowianie są bardzo produktywni. Każda jednostka oddzielnie dużo może tworzyć, — tylko — zespołu niema, organizacyi, organizacyi!...

. . . .

— Polak potrafi mieć cudowny głos i nie być śpiewakiem, potrafi wynaleźć aeroplan i dać model do zabawy swemu synkowi, potrafi odbyć podróż do bieguna i słówka o tem nie napisać. Wszystko to potrafi.

— Do czegoż ty to prowadzisz?

— Potrafi rozpoznać, że niema przemysłu ojczystego, że musi sprowadzać wszystko od niemców, — a jednocześnie...

— Wszak niema pieniędzy i ludzi.

— Właśnie; bo tłum inżenierów jest bez posady, a według ankiety redakcyi „Patryotyzmu“ w warszawskich bankach spoczywa nieruchomo, bez żadnego użytku, na rachunkach prywatnych *360 milionów rubli.*

— A toż to można za te pieniądze zbudować nową Łódź z paru setkami olbrzymich fabryk i krociami robotników!

— Można, — tylko trzeba chcieć...

. . . .

— Dam ci obrazek naszych stosunków. Oto dziennik. Bardzo poczytny. Na pierwszej stronie doskonały feljeton o tem, że stan umysłowy społeczeństwa upada, że czytelnictwo stoi rozpaczliwie, że księgarze ręce łamią, że

Niższe warstwy społeczne, z wyjątkiem włościan, są niesłychanie lekkomyślne w wydatkach, w czem zresztą idą za przykładem warstw wyższych: urzedników, lekarzy, adwokatów. Robotnik jest jeszcze lekkomyślniejszy od urzednika, bo naprzód dotychczasowi jego mistrze wpajali w niego przekonanie, że nie on jest winien biedzie, która go dusi, a następnie, bo robotnik mniej dba o swój zarobek niż urzędnik o swą pensyę — ponieważ łatwiej robotnikowi, usuniętemu z fabryki, znaleźć jakąś pracę, niż urzędnikowi, wydalonemu z posady, wyszukać sobie inną. Należy więc oduczyć go tej lekkomyślności.

A choć skutkiem odmówienia kredytu, dużo jednostek wycofa się z kooperatyw, mała z tego będzie strata, bo zostanie żywioł najlepszy, zdolny do rozwagi, rachunkowości i oszczędności.

Jak dalece *wszyscy* uznawali konieczność wyrugowania kredytu ze stowarzyszeń współdzielczych, świadczy fakt, że na zebraniu komisyi, obradującej w tej sprawie, wobec całego zjazdu, *ani jeden głos* nie odezwał się za kredytem.

Wogóle na zjeździe zaznaczył się spokój, trzeźwość sądów, zrównoważenie. Udział kobiet był niezbyt znaczny, ale doborowy — dwie kobiety: pani Anna Karczewska z Zawidza i d-rowa Michałowska z Żelechowa — zostały zaproszone do prezydyum. Pożądanemu wpływowi kobiet w stowarzyszeniach współdzielczych poświęcił p. Woyciechowski referat osobny, podnosząc nietylko siłę koszyczka z kluczykami i miedziakami, ale i siłę moralną, przez którą kobiety dźwigają kooperatywy ku wyższym celom, stojąc na straży uczciwości; do mierzenia, ważenia i liczenia, wprowadzając pierwiastek etyczny, idealny. Przyczynnają się do tego i księża, bardzo żywy biorący udział w pracy współdzielczej.

Wszyscy uczestnicy Zjazdu prawie jednogłośnie stwierdzili, że korzyści, jakie na nim odnieśli, pod względem ustalenia poglądów na organizacyę i kierowanie stowarzyszeniami, są bardzo poważne.

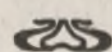
Zamykając Zjazd, prezes jego, redaktor Donimirski zaznaczył, że informacye, jakie wynieśli uczestnicy — to może jeszcze nie najważniejsza korzyść; ważniejsze nad to jest pierwsze spotkanie się, przekonanie się, że są w kraju ludzie, którzy dla tej idei chcą i umieją pracować. To dodaje otuchy, że robota współdzielcza rozwija się i da owoce korzystne i dla stowarzyszonych i dla kraju.

Eugenja Żmijewska.



Z V-ej seryi. Z. RÓŻYCKI.

Na złotej harfie kładę dłoń...



Na złotej harfie kładę dłoń...
O, harfo moja dzwoń mi, dzwoń,
Ale nie tę ponurą pieśń,
Z której tchnie grobów rdzawa pleśń,
Lecz tę, co dźwięczy gdyby spiż,
Która prowadzi ducha wzwyż!

O, harfo moja dzwoń i dźwięcz
Ogromną pieśnią barwnych tęcz,
Zawrotną pieśnią słońca lśnień,
Zawrotną pieśnią wiosny tchnień
I dumnym szałem orlich piór
Bij o najdalsze stropy chmur!

O, pieśni moja dźwięcz i graj,
Jak rozszumiony wichrem gaj,
Jak groźny piorun hucz i grzmij,
Uderzaj w pierś i w serca bij,
By precz rzuciły zgniłą chuć
I znów zaczęły *żyć* i *czuć!*

O, harfo, w górny uderz ton,
Jak metaliczny złoty dzwon,
Bo dość już skarg i dosyć łez,
Bogdajby cień goryczy zczezł,
Bogdajby pierzchła ciemna noc,
Co nam odbiera czynów moc!

O, pieśni, pieśni! Próżno łkać!
Choć jedną chwilę ludziom dać
W której by mogli ujrzeć świt,
Coby im różą szczęścia kwitł,
Coby im z piersi zwalić mógł
Brzemiona lęków, łez, i trwóg!

O, pieśni, pieśni! Jeden raz
Ożywić martwy, zimny głaz,
Uderzyć w niebo z całych sił,
Aby ten Bóg, który się skrył
Spokojny wśród obłocznych pól,
Wreszcie na ludzki wejrzał ból!

O, harfo, harfo, harfo ma
Niechaj pieśń twoja ogniem drga,
Niech w każdej piersi nieci żar,
Który skamieniał, albo zmarł,
Niech budzi dumę, budzi szał,
Coby nas znów ku gwiazdom rwał!

---

autorowie w biedzie, że — jednem słowem — ludzie książek nie kupują. Przewróćmy teraz kartkę i zobaczmy, co będzie dalej. Na drugiej stronie dziennika sto wierszy sprawozdania o idyotycznej farsie, 100 wierszy o tem, że Rydecki, pan z pod ciemnej gwiazdy, zabił pionierkę bezwstydu i rozwydrzenia kabaretowego, panią Leonię Regnauld, — wreszcie 100 wierszy o stanie zdrowia szantażysty z Köpenick. Na trzeciej stronie dziennika — 6 *wierszy*, wyraźnie sześć wierszy petitu (pomiędzy drobnemi wypadkami miejskiej kroniki) — chłodnej wzmianki reporterskiej o świeżo wydanej książce znanego autora, książce, mającej wybitną wartość i kosztującej — grosze, a więc popularnej ceny. A trzeba wiedzieć, że wzmianka nastąpiła po usilnych staraniach autora, księgarza i wszystkich ich znajomych. Ma kwitnąć czytelnictwo!... A kto winien? Zdaje się, że się na to zgodzimy: prasa bojko uje książki.

— Za mocno się wyrażasz: bojkotuje. Powiedzmy — trochę negliżuje.

— Nie zgodzę się na to. Bo jeżeli kabaret i bar i cyrk mogą sobie pozwolić na sążniste ogłoszenia na pierwszej stronie, to książka takich kosztów ponosić nie może. Prasa więc, która stoi na straży dóbr społeczeństwa — przedewszystkiem umysłowych i moralnych — obowiązana jest słowem od siebie poprzeć sprawę kultury — wzmiankami, sprawozdaniami, krytyką, by nie wyglądać śmiesznie, gdy jej przyjdzie po upadku jakiegoś wydawnictwa ronić z obowiązku łzy pogrzebowe, jak to miało miejsce z „Chimerą"...

. . . .

— Czegoś taki smutny?
— Ciotka moja umarła.
— Kochałeś ją bardzo?
— Nie.
— Ominęła cię w testamencie.
— Przeciwnie, zapisała mi 200.000 rubli, mnie, biednemu dwudziestoletniemu chłopcu. O, jakże ciężką krzywdę mi wyrządziła.
— Tyś chyba zwaryował!
— Nie, przyjacielu, jestem przytomny. Mój Boże, gdyby była zapisała majątek jakiejś instytucyi oświatowej, kulturalnej, — pierwszej lepszej, — jakżeby się przez to wzmógł majątek nasz społeczny, ilużby ludzi korzystało z dobrodziejstw szkoły, książki czy czego innego. A tak!

— I ty łamiesz ręce, żeś otrzymał spadek?

— I co ja jej złego zrobiłem, że mię tak skrzywdziła. Szedłem naprzód, byłem biedny, uczciwy, pracowałem, kształciłem się, — w przeciwnościach życia hartowałem duszę, sprężystość myśli, charakeru. A dziś? Wszystko stracone!...

— Dlaczego?

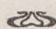
— Dlatego, że dziś staczać się będę coraz niżej, aż zginę przedwcześnie, bom za słaby, żeby się tych pieniędzy zrzec. A cóż one mi dadzą? Żyć będę z renty — w próżniactwie, bo nie będzie nakazu pracy? Próżniactwo rodzi złe myśli, występek, nierząd. Tracić będę zdrowie na nocne hulanki, bo one są chwilowo przyjemne. Nie będę niczem skrępowany, więc wyrodzi się we mnie swawola, — brak pracy umysłowej zrodzi zanik sił logiki, będę coraz głupszy, aż zgnuśnieję wśród zabaw i zwiędnę. Posiadanie wyrobi we mnie egoizm, strach i konserwatyzm. Co ja jej złego zro iłem, nieboszcze ciotce!...



Gustaw Olechowski.

EMMA JELEŃSKA.

Jubileusz.



(Dokończenie).

. . . .

Nagle, szarpnął go ktoś za ramię. Ocknął się — otworzył oczy. Stała nad nim żona, strojna i uśmiechnięta, i coś mówiła prędko, potrząsając jego ramieniem. — Nie zrozumiał zrazu.

— Szukam cię wszędzie — mówiła — jakże można! Dwunasta dochodzi! Z „Dziennika“ już przyszli, śliczne, stylowe album przynieśli. Chodź prędko! Boże! jak ty wyglądasz! Chory jesteś, czy co? Ale chodź już... Nie można im kazać czekać.

I wzięty pod ramię, z ławki podniesiony, poszedł ku domowi, i stanął w kwiatami ustrojonej sali przed gromadką czarno ubranych ludzi. Było ich kilkudziesięciu. Najokazalszy, siwy pan ze wspaniałym wąsem, wystąpił naprzód i założywszy lewą rękę za guzik, zaczął mówić:

— Czcigodny Panie! nieraz tytułu tego nadużywamy, zowiąc czcigodnymi takich, którzy na to nie zasłużyli. Dziś jednak chyba za mało, w stosunku do ciebie, wyraża to miano. Godzien bowiem jesteś, Panie, czci prawdziwej i gorącej, gdyż stanowisz tak rzadki przykład człowieka, który przez długi przeciąg lat dwudziestu pięciu służył jedynie Dobru, Pięknu i Prawdzie — który z drogi wytkniętej ani razu nie zstąpił, który duszą całą, talentem potężnym i wszystkiemi siłami swemi służył wzniosłemu ideałowi... który...

Naraz stała się rzecz okropna. Roman Bieniecki, który od początku przemowy dziwnie był niespokojny i jakby nie swój — nagle parsknął ogromnym, przeraźliwym śmiechem.

Mówca stropił się i urwał. Wszyscy spojrzeli po sobie. Pani Felicya do męża się rzuciła. Gromadka deputatów zbiła się w kupę przelękła i zdziwiona.

A on z wykrzywioną śmiechem twarzą, wołać zaczął.

— Towarzysze, filistry! cha, cha! Wy mnie chwalicie! Mnie... mnie... Ja przez całe życie kłamałem — oszukiwałem was — siebie — wszystkich oszukiwałem... cha, cha! Jest za co chwalić.. jest za co...

— Romanie! Co ci jest? Chory jesteś — słabo ci... — wołała pani Felicya, targając go za ramię i całkiem brutalnie usiłując go z salonu wyprowadzić. Daisy i hrabia Płoski pośpieszyli jej z pomocą. Olo, chociaż nie rozumiał dobrze co się stało, za nimi poskoczył.

Wyprowadzono go, prawie przemocą. Opierał się i wołał jeszcze odchodząc:

— Ja jestem wzorem, cha, cha, cha! Bo mój ideał wygodny, bardzo wygodny. Mój ideał — to rubel, cha, cha...

I jeszcze z za drzwi słychać było śmiech jego.

W sali kwiatami i wieńcami ustrojonej, została gromadka czarno ubranych ludzi. Spoglądali na siebie w zdumieniu. — „Sfiksował“ szepnął mówca. — „Sfiksował“ powtórzyli inni. I na twarzach ich odbiło się zakłopotanie — i zaczęli wzajemnie pytać się siebie wzrokiem: co nam teraz zrobić wypada? Wynosić się? czy zaczekać jeszcze? Zasięgnąć wiadomości — doczekać ukazania się rodziny?

I stali tak bezradni, gdy wróciła pani Felicya, Olo i hrabia Płoski. Z uprzejmością i zwykłą dystynkcyą, zaczęła przepraszać za tak smutny wypadek — mówiła o nerwach — o przepracowaniu — dziękowała w imieniu męża — jeszcze przepraszała — a wreszcie, nadzwyczaj uprzejmie i serdecznie prosić zaczęła na śniadanie.

— To tylko nerwowe wzruszenie — mówiła — jestem pewna, że nic ważnego. Zaraz mu przejdzie. Nie psujmy pięknego dnia! On sam byłby zrozpaczony. Proszę, koniecznie proszę...

Towarzystwo przeszło do jadalni. Zadźwięczały na talerzach noże i widelce, brzękły nalane dobrem winem kielichy. Powstał gwar rozmów. I wkrótce, jakiś młody literat nie chcąc tracić przygotowanej mówki, wzniósł w pięknych słowach, w ręce szanownej małżonki, zdrowie Jubilata!

. . . .

A jubilat leżał jak martwy w swoim gabinecie. Chwilowy obłęd przeszedł. Zostało osłabienie wielkie — pustka.

Słyszał wyraźnie wszelkie w domu odgłosy i ruch. Słyszał gwar ludzkich rozmów, brzęk szkła, bieganie służby. Słyszał zajeżdżające i odjeżdżające z pod ganku powozy, otwieranie drzwi wchodowych, wchodzenie i schodzenie ze schodów. Widział przez zapuszczone rolety przedzierające się promienie słońca i czuł dokoła siebie życie, ludzi, ruch. Ale zdawało mu się że to wszystko jest od niego niezmiernie daleko. Że to wszystko rusza się i żyje gdzieś — gdzieś w nieskończonej przestrzeni — a przy nim jest pustka.

Leżał z przymkniętemi oczami, nieruchomy. Do pokoju wchodzili ludzie, stąpali na palcach, mówili szeptem Przybył lekarz, wybadał, obejrzał — i coś mówił o wyczerpaniu nerwowem, o ciszy, o spokoju.

Potem odeszli wszyscy.

Powoli i dom się uspokoił — i słońce zaszło — i cienie z kątów wypływać zaczęły. Ktoś małą lampkę zapalił, abażurem przykrył, i odszedł.

I zrobiła się cisza.

Roman dźwignął się i usiadł na sofie. Przeszło osłabienie. Czuł się zupełnie zdrów. Tylko ból w sercu i ciężar na barkach nie ustąpił. Przytomny był. Rozumiał doskonale, że się stało coś niepotrzebnego — że coś mu się nagle z piersi wyrwało, co powinno było tam schowane leżeć.

Ale co? Nie pamiętał.

Natomiast, pamiętał doskonale dzieje przeszłej nocy. I znowu, w ciszy, zaczęły mu przed oczami stawać widma, obrazy, wspomnienia — mary przeszłości. Obejmowały go, tuliły... w objęcia garnęły. I czuł, że one mu duszę biorą, i niosą ją wstecz ku rzeczom minionym a drogim. I w pół śnie, w pół marzeniu, wyzwalał się z teraźniejszości — a cofał się w przeszłość. I jakieś ukojenie padło mu na duszę. Drętwiał. Zamierał. I było mu dobrze.

Aż głośniejszy jakiś ruch w pobliżu zbudził go. Tuż obok drzwi gabinetu usłyszał głos żony. Odprowadzała widać kogoś aż do sieni, bo mówiła tonem nadzwyczaj grzecznym:

— Ależ tak! mój mąż będzie bardzo wdzięczny. Za dni parę zdrów będzie — i przyjdziemy państwu podziękować osobiście. Tyle dobroci! Jesteśmy wzruszeni...

Drgnął. Za dni parę! Tak, najdalej za dni parę zwykłe życie rozpocznie się na nowo.

Więc znowu wytężona praca umysłowa w redakcyi, gorączka artykułów, pędzenie za najświeższą wiadomością, gwałtowna polemika o zdania w gruncie obojętne, wychwalanie pod niebiosa lub rzucanie w błoto ludzi i rzeczy, kompromisy ciągłe, poza na moralność, na trzeźwość, na bezstronność, pochlebianie ludzkim słabościom, zjadająca umysł i serce ambicya, parcie się naprzód wciąż naprzód.

Więc znowu gonitwa za rublem — spekulacye i obliczania — terminy, nadzieje, zawody, straty i zyski — kompromisy z uczciwością, co jeszcze protestuje czasem, i wieczna troska czy wystarczy, i wieczne silenie się o więcej, o więcej jeszcze.

Więc znowu banalne salony, tłum istot obcych — i uprzejme uśmiechy, i pochlebne zwroty — i słowa — słowa — słowa. A w gruncie serc, zazdrostki, ambicyjki, gniewy, schowane wilcze zęby i kocie pazury i żądełka zdradne. A na dnie, gorycz i zawiść, i kłamstwo.

Więc znowu ten dom rodzinny — elegancki, wykwintny dom — a zimny, jakże zimny! Znowu ta obcość, ta niemożliwość porozumienia się, to bierne przykucie do wspólnego łańcucha! Ten chłód, grzecznością maskowany!

Więc znowu ta gorączka pracy, wysileń, to parcie ku celom niekochanym i niemiłym – to deptanie po bliźnich i po braciach — to gwałtowne sięganie po wmówione sobie szczęście. Ten galop bez sensu, bez wytchnienia.

Nie! Tego już nie zniesie. Nie może — nie może...

Z wyższych i piękniejszych krain zszedł on w te obrzydłe padoły — przez słabość, przez miękkość i tchórzostwo dał się oplątać i do jarzma przykuć. Stracił duszę swoją. I dwadzieścia najlepszych lat swego życia deptał błotniste i wstrętne mu drogi. Stracił wszystko, a nie zyskał nic — prócz honorów, których nie ceni, i złota, którego nawet użyć niema czasu. I oto doszedł do szczytu — do tego dnia jubileuszowego.

O, ironjo! ironjo!...

Bo oto stoi dziś na tym szczycie, okadzony pochlebstwami i obdarzony stylowemi

albumami. Stoi samotny, pomimo klaszczących wokoło dłoni, i przez nikogo nie zrozumiany. I widzi jak wszystko to, coby kochać mógł oddala i usuwa się od niego. Rodzina idzie własnemi, nie jego drogami, bo on jej żadnych dróg wskazać nie umiał. Syn Marty, dziecię jego miłości, odwraca się od niego, bo on go się wyparł. Przyjaciele dawniejsi o nim zapomnieli. Marta, umierając, każe mu powiedzieć, że się lęka o jego duszę — lęka się — i słusznie — że może i po tamtej stronie spotkać się nie będą mogli. Bo spotykają się tam ci tylko, co tu chodzą dobremi drogami.

— Zmarnowałem życie — szepnął Roman.

Lecz teraz... cóż teraz? Czy dalej w tem istnieniu trwać?...

Nie! nie może — niechce — nie będzie! Przyszła chwila przełomu, zbuntowała mu się dusza — i dalej tą drogą iść nie zdoła

Porzuci wszystko — ucieknie gdzieś daleko — na krańce świata. I w zapomnieniu, w ubóstwie, w pokorze, w twardej pracy— w pokucie — czekać będzie wielkiego wyzwolenia. Porzuci wszystko. Ucieknie.

Nie! ani jednego dnia, ani chwili jednej dłużej pozostawać tu nie może. Duszno mu, ciasno. Dach ten go gniecie. Ściany go cisną.

Ucieknie... Ucieknie...

Wstał z sofy — zbliżył się do biurka. Prędko prędko wyjął z szuflad bankowe papiery, akta różne, weksle, rachunki i dokumenty — wszystko razem związał i położył na nich adres żony. Na kawałku papieru nakreślił słów kilka: — „Moi drodzy, muszę was porzucić i odjechać daleko. Nie wrócę nigdy. Nie szukajcie mnie i miejcie za zmarłego. Życzę wam w życiu szczęścia i wszelkiego dobra. Fundusz zostawiam w porządku. Bądźcie dobrzy i szczęśliwi. R. B."

Prędko, prędko wyjął pasport, kilka storublówek wsunął do pugilaresu — większą część zostawił — szufladę zamknął i klucz na biórku położył. Pierścień Marty włożył na palec, książeczkę jej do kieszeni. Wziął palto, kapelusz, laskę — i wyszedł na werandę.

Noc już była. Za kratą turkotały powozy, migotały latarnie, huczało miasto. Tu blizko pachniały hiacynty, szumiała fontanna, i na tle ciemnego nieba rysowały się ładne kształty pałacyku. Na pierwszem piętrze paliły się lampy w apartamencie żony.

Roman cichutko, ostrożnie a śpiesznie przekradać się zaczął ku bramie. Jak złodziej ze zrabowanego domu uciekał.

Lecz gdy już stanął w ulicy, odwrócił się. I długą chwilę patrzał w oświecone okna. A ciężkie łzy zaczęły mu się zbierać na rzęsach.

. . . .

Wszakże tam było wszystko to, co ludzie kochać i cenić tu na ziemi przywykli. Było to, do czego sam dążył i o co walczył przez całych lat dwadzieścia. Było... osiągnięte... zdobyte...

Ach! czemuż tak wstrętne!...

Czemuż, dążąc wszystkiemi siłami umysłu i woli, nie zdołał sercem ukochać ani duszą przylgnąć? Czemu serce i dusza zostały na zawsze tam gdzieś — na dawniej obranych szczytach! Czemu nie dały się wtłoczyć w szablony, i pomimo jarzma, zostały buntownicze i wolne!

Ach, czemu?...

Dlaczego teraz to straszne rozdwojenie?

Bo oto stoi za bramą własnego domu, i czuje, że wrócić tam nie może i nie chce. Przed nim noc ciemna. I nie wie dokąd się zwrócić.

Na całym wielkim globie, na całym szerokim świecie, niema nikogo swojego — żadnej blizkiej istoty.

Chyba tylko *jej* duch... z poza grobu... Chyba tylko jej duch tęskni do spotkania obiecanego tym, którzy chodzą dobremi drogami...

O, na tę dobrą drogę wejść jeszcze!

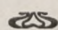
— Marco! prowadź... kieruj... — szepnął Roman, odwracając oczy od oświeconych okien swego pałacyku.

I poszedł w ciemną noc.

KONIEC.



Przegląd teatralny.



Wśród wielu, wielu szablonów pojęć, które zyskały u nas łatwy i tani indygenat myśli— utarł sie w dziedzinie krytyki literackiej tuzinkowy sąd o przeróbkach powieści na scenę.

„Najlepsza powieść traci w przeróbce scenicznej" — orzekli arystarchowie — „blednie, pozostaje opowieścią bez scenicznej, epizodycznej akcyi, niema własnego życia i jako taka traci prawo do egzystencyi na scenie".

Krytyka, która stale i uparcie dąży do oklejania wszelkich utworów etykietami z paru płytkich szufladek elementarnej terminologii literackiej, która w ocenie sztuki poprzestaje na sprawozdaniu z jej treści i w tym kierunku doszła już do poziomu wypracowań stylistycznych uczniów z trzeciej klasy gimnazyum — taka krytyka wdzięczna być musi autorom przerabiającym swe powieści dla sceny. Nieomylna etykieta kwalifikacyi dla takich utworów leży zawsze na wierzchu i można na niej nawet bez wielkiego myślowego wysiłku sklecić jakiś pseudo-dowcipny aforyzm pod adresem autora, mający zgnębić nieszczęsnego doszczętnie i wykazać czytelnikom nieskończoną wyższość krytyka nad kratykowanym. Tak się też robi i taki los spotkał świeżo dzieło wielkiego i dawno uznanego talentu — „Argonautów" Elizy Orzeszkowej w przeróbce dokonanej przez autorkę na współkę z p. A. Sikorskim i wystawionej w Teatrze Małym M. Gawalewicza.

Kiedy przed dwoma laty Edmund Guiraud w Paryżu przerobił na scenę „Annę Kareninę" Tołstoja po trzech poprzednich nieudanych próbach swoich kolegów po piórze i kiedy Antoine wystawił tę przeróbkę w swoim teatrze, żadnemu z paryskich krytyków nie przyszło do głowy po premierze pisać o powieści Tołstoja ani szukać na scenie tych wrażeń, które swego czasu dała im jego książka. Taki Emil Faguet — krytyk którego niedawno plebiscyt publiczności uznał za najwytworniejszego znawcę teatru — nie wahał się pisać o „Annie Kareninej" tak jak ją zobaczył na scenie Antoine'a, t. j. wyłącznie na podstawie tych rysów charakteru, jakie dla niej z powieści Tołstoja wybrał Guiraud. Sprawdził naturalnie czy przeróbka tego ostatniego w zasadniczym rysunku postaci nie odbiegła od pierwowzoru, czy sytuacye sceniczne sztuki zaczerpnięte są z powieści, czy jednem słowem powieściowy pomysł Tołstoja nie różni się *w istocie* swojej od scenicznego przedstawienia Guiraud'a — nie przyszło mu jednak na myśl szukać w tej przeróbce ani nastrojów wywołanych opowiadaniem książkowem dzieła, ani też całego szeregu motywów i argumentów psychologicznych do działań bohaterów powieści, tak po mistrzowsku nagromadzonych przez autora.

Krytyka Faguet'a „Anny Kareninej" była mimo to równie zajmującą jak ścisłą analizą sztuki i wyborną oceną gry występujących w niej artystów. Faguet a obok niego i inni— doskonale zrozumieli, że teatr i powieść mają różne wprawdzie wymagania i warunki, ale że jeden i ten sam temat może się doskonale zmieścić w ramach jednego i drugiej, że dwukrotne pokazanie tego samego dzieła za pomocą odmiennych za każdym razem technicznych środków literackich nic a nic nie ujmuje wartości jego, nie daje nikomu żadnego prawa do zbagatelizowania i lekceważenia tej wartości twórczej.

Więc odmiennie zachowała się nasza, warszawska, krytyka względem dzieła Orzeszkowej. Zbagatelizowała je i zlekceważyła tylko dlatego, że „Argonanci" na scenie Teatru Małego byli przeróbką powieści.

Temat sztuki nie wydał mi się zgoła przestarzałym i trzeba być doprawdy hiper aktualnym smyczkowym reporterem, by nie dostrzedz, że to, co było hasłem pewnego minionego okresu nowego życia — owa „organiczna praca" — stworzyła całe pokolenia jednostek dążących przez całe życie po „złote runo". Takich Argonautów pełno było i jest i będzie wśród nas. Są oni zresztą w każdem społeczeństwie i wszędzie stanowią smutny przykład Midasowego potomstwa. Oni to wtłaczają życie w twarde okowy obowiązku dla marnego celu — oni kładą na tętniących, zdrowych tego życia pulsach złote pieczęcie chciwych tęsknot i złote stygmaty wiekuistej w materyi niewoli — oni rozluźniają w sobie i dokoła siebie wszystko to, co wiąże uczucie wyzwolone — oni złotem zabijają Miłość.

W domu Darwida snuje się po komnatach taki zimny błysk żółtego kruszczu i w mowie jego dźwięczy tak silnie metal jego pełnej kasy, że odrazu bierze widza współczucie dla tych trzech kobiet co na tym gruncie twardym wątłe i delikatne wyrosły — czujesz, że właśnie dzięki długoletniej tylko tego bardzo wciąż zajętego człowieka nieobecności wyrość tak mogły, że dni ich policzone skoro powrócił, wlokąc za sobą złoty, duszny tuman swej karyery dorobkiewicza.

Nie można się dziwić, że w takiej atmosferze rodzina Argonauty Darwida nie dokonuje żadnych czynów — ona wegetuje tylko w złotej klatce, a właściwie kona w niej przed oczami widza. I to konanie w ciągu 4 aktów wytwarza właśnie potężny nastrój, jak mgłę, z której błyszczy Baltazarowy napis głoszący tego domu ruinę. A konający życiowe rachunki swoje załatwiają z ojcem cichem słowem skargi, lodowatym wyrzutem lub jękiem. Niema walki — jest co najwyżej dyskusya. Ale czuć doskonale, że każda z występujących tam osób ma swoje własne uczucia i własne słowa i wolę. Jedna tylko maleńka Kara dusi się w tem otoczeniu, nie wytrzymuje nacisku atmosfery — umiera.

Jęczy coś w piersiach, gdy po ostatnim akcie nad siwą, własną kulą rozbitą głową Darwida, zapada teatralna kurtyna. To żal... żal zdeptanych i wyschłych zawcześnie serc, żal

starganych potencyi bytu i szczęścia, żal zmarnowanej energii!...

Darwida grał p. Staszkowski. Dobra maska, twardy głos, dużo dobrej gry, wyraźny, całokształtny typ, zamało poszanowania dla języka autorki.

Żoną Darwida była p. Pytlińska, doskonała w linii i wyrazie, bez zarzutu w grze. Cudowną po prostu postać stworzyła z Izy p. Dunin. Pomijam już zewnętrzne wyborne kontury, ale takiej gry świetnie akcentowanej, tak kunsztownie cyzelowanego dyalogu, takich szczerych a subtelnych modulacyi głosu i takiej gry oczu i całej twarzy, takiej wytworności w każdym ruchu, geście, uśmiechu — dawno nie widziałem ani w Małym Teatrze ani na rządowej scenie.

P. Dulębianka grała Karę, dobrze jak na artystkę początkującą, ale za szablonowo jak na tę miarę którą mierzyć siebie dała krytyce prawo. Ta rola nie kosztowała jej ani trochę nowej inwencyi, a środki któremi operowała dla akcentowania charakteru i wywołania wrażeń były nietylko szablonowe (Mela z „Dulskiej") ale nie licujące z nastrojem, z ogólnym tonem sztuki, za pospolite dla niej. Inne przecież milieu stanowi dom pani Dulskiej a inne dom Darwida. Są tam przecież wybitne różnice kultury jeżeli już nie rasy.

Pan Szarski dobrze grał rolę syna Darwida. Opanował ją zupełnie, mówił swobodnie, dał typ zajmujący i blizki życia. Może w powieści jest on spokojniejszy i więcej skupiony w wyrazie, ale z tych danych, które dostarczyła scenie przeróbka trudno by wydobyć więcej i było tego zupełnie dosyć dla rysunku typu zupełnie wyraźnego.

P. Lipczyński dobrze zaakcentował swój epizodzik czego nie można powiedzieć o p. Orlińskim, wybijającym takt na francuskich frazesach jak na tamburynie. Jego Kranicki był śmieszny, a postać to romantyczno-tragiczna. Tylko gest obrażonej dumy w rozmowie z Darwidem w końcu sceny I aktu był dobry.

Dyrektor Gawalewicz wystawił tę sztukę ze zwykłym swym doskonałym smakiem i wyczerpującą znajomością towarzyskich środowisk. Wystawa jednak w „Argonautach" — śmiem twierdzić — bardzo podrzędne ma znaczenie. Wszystkiem jest tu ton w poszczególnych postaciach i nastrój ogólny, jaki ztąd płynie na salę. Zapomina się wtedy jakie meble stoją w salonie i jakie portyery wiszą w gabinecie Darwida. Otóż ten ton brzmiał czysto, a nastrój płynął i aż do ostatniej sceny rósł. Tak zestroić indywidualne kamertony artystów, wyuczyć ich takiej rzeźby słowa polskiego, wydobyć i crescendo doprowadzić do szczytu nastrój tej siły — potrafi tylko Gawalewicz w Warszawie. Przynajmniej on jeden dotąd dokazał tego.

Równocześnie z „Argonautami" prawie wystawiono w Rozmaitościach „Słowo honoru" Hartlebena. Stara ta sztuka miała być „pogotowiem ratunkowem" w niepowodzeniu jakiego doznał „Chrzest". P. Śliwicki gotów był w głównej roli — p. Tekla Trapszo grała w tej sztuce kiedyś, więc wyciągnięto ją z jakiejś zakurzonej szopy. Ale publiczność nie dała się wziąć na reminiscencye gry p. Śliwickiego.

„Słowo honoru" należy do sztuk pisanych podobnie jak utwory Sudermana na francuzką modłę. Hartleben rozmiłował się we wzorach Ohnet'owskich i naśladował je tworząc w sposób, nie dający poczuć żadnego niesmaku, mogącego wyniknąć z mieszaniny francuzkiej barwnej faktury z niemiecką drobiazgowością w podkreślaniu charakterów sytuacyi i osób. Utwory Hartlebena równie swego czasu zajmujące były jak Ohnet'a, Sardou i innych dramaturgów francuzkich z przed lat trzydziestu paru. Ale twórczość tego okresu zrobiła swoje, przetrzymując dość długi okres czasu na scenie i stawiając na niej nawet w tym czasie jako regułę swoją metodę scenicznej faktury. Dziś przeżyło się to już. Żądamy dziś od sceny mniej fantastycznej dramatyczności a więcej bezpośrednich i bliższych życia wrażeń.

„Słowo honoru" nie mogło zabawić dzisiaj publiczności i sądzę, że ten sam los co w Warszawie spotkałby już dziś wszędzie tę sztukę, graną zresztą z tradycyami rampy nic już nowego ani zajmującego dla widza nie przedstawiającemi. Jedyny interes tej sztuki w ocenie krytyki warszawskiej znów zupełnie przeoczony został — zlekceważono go dla formy utworu. Hartleben stawia tezę: czy wolno złamać słowo honoru jeżeli dotrzymanie go prowadzi do czyjejś szkody? Teza ta wywołała przed kilkunastu laty w Niemczech bardzo żywą dyskusyę — u nas pominięto ją zupełnie, jakgdyby obawa pomszczenia tej drażliwej kwestyi miała usprawiedliwiony powód w stosunkach miejscowych... A może?...

Ostatni tydzień przyniósł nam znowu ciekawą premierę wystawioną — comme de raison — znowu przez dyrektora Gawalewicza. Nowością tą jest 3 aktowa groteska Pawła Apla p. t. „Miłość" („Liebe").

Nieznany dotąd, młody autor, obrał bardzo ciekawą drogę do zajęcia uwagi teatralnych widzów. Z odwiecznego tematu miłości wysnuł nić mieniącą się wszystkiemi barwami tęczy, oparłszy wrzeciono swej twórczości na owej nieuchwytnej prawie granicy pomiędzy tem co jest wzniosłe i — śmieszne. Du sublime au ridicule il n'ya qu'un pas. — Apel, jak Percinet Rostand'a traktuje miłość i przechylił się cały przez mur, który tę miłość od śmieszności ogradza. Publiczność siedzi za murem i śmieje się do rozpuku, widząc jak każde czułe słowo, każdy szczerze patetyczny odruch i wszystek młody sentyment bohaterów „Miłości" zamieniają się w grymas poliszynela wodzonego za nos białą rączką doświadczonej kokietki, Marion.

I śmiech ten brzmi szczerze, bo młodociani bohaterowie Apla pełni są świeżej, niezepsutej jeszcze krwi, tętni w nich młode pragnienie życia, naiwny romantyzm młodości — i widać wyraźnie, że nie talent, ani literacki zamiar autora, ale właśnie to życie, — *samo życie* — cudownie usymbolizowane w postaci zalotnej kobiety, daje im szczutka w nos, ośmiesza serdeczne porywy, „daje w pysk" całemu ich idealizmowi, jakby powiedział Słowacki i odchodzi precz — ku realnym celom!...

Widzowie śmieją się, bo całe trzy akty tej doskonałej ironii życia, uscenizowanej w litanię epizodów miłosnych jednego małego domowego kółka, pełne są szczerego humoru i brawurnych dowcipów iskrzących się tak silnie, że w tym blasku znika na razie myśl utworu. Ale później, w ciszy samotnego wieczoru, rozpamiętuje się wrażenia sztuki i na usta przychodzi Schillerowskie westchnienie:

„O! dass sie ewig grünend bliebe
„Die schöne Zeit der jungen Liebe!...

a kiedy natrętne wspomnienia minionych lat wyryją się zkądś tam, z dna serca — staje obok ironiczna, szyderska wizya życia, co dawno zmroziło i zdławiło młodociane nasze serca porywy.

I wówczas zda się widać prawdziwą twarz autora „Miłości", bez dzwonkami dowcipu ustrojonego błazeńskiego kołpaka, — smutny uśmiech przeżytych zawodów wije mu się koło ust młodych, a oczy mówią: „*Kochać, łudzić się i cierpieć — oto życie człowieka*!..."

Aby tę prawdę zamknąć w subtelnej grze 3 ch aktowej groteski, aby wrażeniem sceny takie w duszy ludzkiej wywołać refleksye — trzeba mieć wielki talent i ogromną zdolność trudnej obserwacyi życia. Paweł Apel ma jedno i drugie. Obok miary tematu, staje nadto wielka miara faktury scenicznej. Autor nie sięga do arsenału wielkich środków dramatycznych. Operuje tylko obserwacyą życia w mikrokosmie. Ale jego mikroskop pokazuje i podkreśla każde drgnięcie, każde uczucie obserwowanych istnień z prostotą pozwalającą przejrzeć się w tym obrazie jak w źwierciadle.

Nie widać żadnych sznurków scenicznych. Wszystko tu żyje i rusza się w swojem własnem, naturalnem, świetnie podpatrzonem życiem. Typy — wszystkie bez wyjątku — posiadają zdumiewającą plastykę.

„Miłość" Apla należy bezsprzecznie do najlepszych sztuk nowego repertuaru i wybór jej jeszcze raz podkreślił te wyjątkowe i jedyne kwalifikacye na kierownika poważnego, współczesnego teatru, które w tak wysokim stopniu posiada dyrektor Gawalewicz. Wynalazł on i wystawił tę pierwszą sztukę nieznanego u nas młodego Apla tak samo jak wyszukał i pokazał pierwszy Heijermansa, Shawa, Strindberga, Torate'a, Essmana, Bataille'a. Bernsteina i tylu innych.

Grano „Miłość" bardzo dobrze. Doskonałą, może tylko zanadto groteskową kokietką Marion była p. Pytlińska. Tylko na pierwszych przedstawieniach — bo potem zastąpiła ją z sukcesem p. Dulębianka. Zdaje mi się, że w całej sztuce ta jedna postać najmniej powinna być w groteskowym tonie. Pp. Ceremuszyńska i Rutkowska dały typy bardzo dobre, sumiennie opracowane i wyraźne. Pp.: Szarski, Lipczyński, Noskowski i Bartoszewski grali z humorem i z werwą, które zacierały to, co może w rysunku i tonie ich postaci nie odpowiadało życiowemu charakterowi, niemieckich nawskroś typów. Ogólne wrażenie było jednak wyborne, ton ściśle zachowany, a wystawa i reżyserya z pewnością zachwyciłyby autora, gdyby swą sztukę zobaczył w ramach Małego Teatru.

Czekan.



Chwila bieżąca.

— W Petersburgu duże wrażenie wywarło ogłoszenie o dymisyi trzynastu admirałów. Nastąpiła ona skutkiem ujawnionego nieładu w ministeryum marynarki podczas ostatnich wypadków.

— Cesarz Wilhelm wyjeżdżał do zamku arcyksięcia austryackiego Franciszka-Ferdynanda do Ekkartzau, zaproszony na polowanie; wracając postanowił odwiedzić cesarza Franciszka-Józefa w Wiedniu. Udał się więc samochodem z Ekkartzau do Schönbrunu, gdzie został przyjęty przez sędziwego cesarza.

— Kanclerz Bülow podał się do dymisyi, lecz ta nie została przyjętą.

— Nowym prezydentem Stanów Zjednoczonych został wybrany Wilhelm Taft.

— We Lwowie zmarł znany księgarz ś. p. Władysław Schmidt, przeżywszy lat 68. Pozostawił po sobie pamięć najlepszą. Był współwłaścicielem znanej księgarni p. f. „Gubrynowicz i Schmidt".

— W Rotterdamie w 92 r. życia zmarł kierownik największego dziennika w Holandyi — Karol Nigh.

Treść numeru:

FABRYKA
Wyrobów Platerowanych
i Srebrnych 84-ej próby
Warszawa, Elektoralna 753/16

Józef Fraget

SKŁADY
Wierzbowa 8. Nalewki 16.

Szkoła Rzemiosł
i Przemysłu Artystycznego dla kobiet
(dawniej A. Korycińskiej) 1085 z kursami wieczornymi dla mężczyzn
Świętokrzyska 7. (róg Jasnej) tel. 167-74.

KOMATOL
1102
Najlepszy płyn na wzmocnienie włosów, usuwa łupież i nadaje włosom połysk. Zatwierdzony przez Radę lekarską za № 541.
Główny skład ul. Złota № 36 m. 10.

Ażeby doświadczyć - trzeba spróbować
choćby raz jeden naszej kawy bez kofeiny „Ziewonia“ jedynie najtańszej pomimo swego wyborowego gatunku.

Warszawska fabryka palenia kawy „Ziewonia”
S. BUKI i S-ka, Złota 50.

Żądajcie kawy „Ziewonia” wszędzie w paczkach
7 ½ funt 15 kop. ¼ funt. 8 kop. ⅛ funt. 4 kop.

Magazyn Mód
pod firmą
A. SUSKA
Wierzbowa Nr. 6
Poleca modele z pierwszorzędnych domów, oraz wielki wybór Kapeluszy i Nowości sezonowych.
Ceny przystępne. 1113

HURTOWY SKŁAD APTECZNY 3 **Edwarda Jamnickiego**
Maggi
poleca W. Paniom Gospodyniom jako **wielką oszczędność**: Zupy suszone naturalne w kilku odmianach. Smak do zup i sosów. Buljon w tubkach oraz świeżą **Oliwę Nicejską**. Trany kuracyjne i inne towary wchodzące w zakres gospodarstwa domowego.
Senatorska Nr. 30, wprost kościoła św. Antoniego.

A. Callier 997
Hygiena Piękności
Praktyczny poradnik dla prawdziwie eleganckich kobiet.
Do nabycia: ***Karton Rb. 2***
w KRAKOWIE
D. E. FRIEDLEIN, Rynek 17.
w WARSZAWIE
E. WENDE i S-ka, Krak. Przedm. 9.

Szkoła Kroju i Szycia
M-me Mercère Nowy-Świat 42. Kursy ogólne i specyalne
1089 genree taillur.
Kurs bielizny z prawami Cechowemi.

Zmarszczki z twarzy usuwa
ABARID
975
wyciąg z cebulek białej lilii (Lilium candidum)
Perfumerya „PERFECTION“ Szpitalna 10.

SANATOGEN

Wszystkim osłabionym, wycieńczonym,
zdenerwowanym i pozbawionym energii życiowej przywraca siły i chęć do życia
SANATOGEN BAUERA
Pochlebne opinie więcej niż 5000 lekarzy i profesorów. Dostać można we wszystkich aptekach i składach aptecznych. Wystrzegać się bezwartościowych naśladownictw. Prawdziwy tylko w opakowaniu rosyjskiem.

Broszury gratis i franco wysyła S. KARCZEWSKI, Warszawa, Nowo-Senatorska 4.
1030

Hygieniczny „Puder Płynny Paryżanek” Labor. Paryskiego dezynfekuje i udelikatnia cerę. Skład główny: Warszawa Kremky (perfumerya Siou) Marszałkowska 116. 1117


Ostatnie słowo gry mechanicznej! 1115
ANGELUS
Angelus-Orchestral.
Angelus-Melodant.
Angelus-Piano.
Wyłączna Reprez. na Król. i Cesarst.
HERMAN i GROSSMAN
Mazowiecka 16.
Cenniki gratis.
PETERSBURG. MOSKWA.
A N G E L U S

Zakład ogrodniczy
JULJANA KUSZEWSKIEGO
63 Marszałkowska 63, tel. 113—22.
Posiada wielki wybór kwiatów, tak doniczkowych jak i ciętych, bukiety, wieńce, ślubne wiązanki i t. p. nadzwyczaj tanio.
Uprasza się uważać na firmowe znaki.
967 ***Filii nie posiadam.***

Biuro Pedagogiczne „Załęski”
Mazowiecka 3
959 Telefon 42-14.
poleca nauczycieli, nauczycielki, bony Niemki, Angielki.
Sprowadza Francuzki z własnego biura w Paryżu.

Władysław Schoenborn
LEKARZ-DENTYSTA
Korony złote, zęby sztuczne bez podniebienia.
Nowy-Świat 36, *telefonu 67-27*
przyjmuje od 9—2 i od 4—7 pp.

OCHRONIARSKIE i pedagogiczno-freblowskie Kursy dla nauczycielek, wychowawczyń przy szkole freblowskiej ***Wiktoryi Jędruczkowskiej*** Ciepła 4.
Współudział pierwszorzędnych sił, slöjd, koszykarstwo, haft, rysunki. Po ukończeniu świadectwa, posady. 1068

50%
oszczędności na paliwie dają
Kuchnie
całożelazne, typu belgijskiego, bez fajerek Cała Ameryka, Anglia, Belgia i t. d. tylko takich kuchni używają.
Katalogi illustrowane.
na żądanie bezpłatnie wysyłają natychmiast 1081
Wyłączni Przedstawiciele:
F. Załęski & S-ka
Warszawa, Chmielna 26.

1100 NOWOŚĆ KOSMETYCZNA!
Puder perhydrolowy
Aptekarza Kwiatkowskiego
Przeciw świeceniu się twarzy. Wybiela, matuje niewczy, żółte plamy i liszaje. Skład główny Perfumerya Paszkowskiego Marszałkowska 109.

Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: Piotr Laskauer. Druk Piotra Laskauera i S-ki, Warszawa, Nowy-Świat 41.

Dodatek poświęcony łączności kół kobiecych
na ziemiach Polskich.

SPRAWOZDANIE
z działalności Zjednoczonego Koła Ziemianek.

Czerwcowa wystawa przemysłu ludowego urządzona w ,,Świetlicy" staraniem ziemianek, była najwydatniejszym momentem tegorocznej działalności Stowarzyszenia, nietylko bowiem dała doskonały rezultat materyalny, świadczący o dobrej organizacyi i dużem zainteresowaniu się wystawą szerszej publiczności, ale stanowić będzie pierwszy krok do dalszej pracy w kierunku popierania drobnego przemysłu, na podstawie bowiem wiadomości, jakie tą drogą zostały zdobyte, łatwiej już można się oryentować, co dotąd zrobiono i co robić należy.

W sprawozdaniu, umieszczonem w ,,Sterze", zarzuciła pani Bojarska, że organizacya wystawy nie była dość demokratyczna, ponieważ w komitecie wystawowym nie było włościanek, oraz że nie dawała pełnego obrazu przemysłu ludowego, ponieważ brakowało tablic statystycznych. Jeżeli się bliżej przypatrzymy, zarzuty te upaść muszą same przez się: ktokolwiek dotknął się sprawy urządzania wystawy, ten wie, jakiego to jest rodzaju praca; taki komitet musi być czynny przez parę tygodni, załatwiać mnóstwo spraw administracyjnych, jak: uzyskanie pozwolenia, obmyślenie i wynajęcie lokalu, przygotowanie szaf i półek, ogłoszeń w prasie i afiszów, jednem słowem zająć się najdrobniejszymi szczegółami. Oczywiście uczynić to mogą jedynie osoby rozporządzające dostatecznie czasem, mające dość stosunków i umiejętności, aby się skutecznie zająć temi drobnemi, a tak utrudniającemi szczegółami organizacyi. Czy można sobie wyobrazić, aby kto do takiej roboty wzywał włościankę, odrywał ją od pracy w domu, czy w polu, czyżby się nawet znalazła taka, coby się zgodziła na tak nierozsądną propozycyę. Nietylko z włościanek, ale i ziemianek nie weszły do komitetu żadne z tych, którymby zajęcie się wystawą przerwało normalny bieg obowiązków wiejskich, tylko mieszkające w Warszawie pośpieszyły do tej pracy, dobierając sobie z poza Koła ochotne zawsze do służenia pomocą Warszawianki.

Tem mniej byłoby właściwe dla nadawania piętna ,,demokratyzmu", powoływanie do komitetu włościanek, tytularnie, już minęły te czasy, kiedy się chłopa traktowało demonstracyjnie i dekoracyjnie jako ideowy pokaz. Na Wystawę przybyło stokilkanaście włościanek, które za przyjazdem do Warszawy zwiedziły także miasto, szpital Dzieciątka Jezus, muzeum etnograficzne i wystawę obrazów, Wilanów i szkołę gospodarczą w Chyliczkach, słowem wszystko, co mogło je zainteresować i przynieść im istotną korzyść.

Co do tablic statystycznych, to skoro się zważy, iż wystawa była pierwszą tego rodzaju próbą i dopiero jakby wywiadem absolutnie wymagać trudno, aby komitet mógł zebrać dane w tak krótkim przeciągu czasu i wobec zupełnego braku przygotowania wśród naszej ludności do dostarczania żądanego materyału, co rzuca się w oczy ze sprawozdania, jakie na posiedzeniu wydziału ekonomicznego Z. K. Z. odczytała p. Weychertówna, a które podajemy prawie w całości.

,,Mając zdać sprawozdanie z czerwcowej naszej wystawy przemysłu ludowego, pozwolę sobie przypomnieć sz. paniom w krótkich słowach okoliczności, w których powstała myśl tej wystawy i z jakiemi siłami została zorganizowana, a to w celu usprawiedliwienia braków, które nam się później uwydatniły.

Myśl wystawy, podana na grudniowem ogólnem posiedzeniu przez przewodniczącą ekonomicznego wydziału, p. Rodziewicz, powtórnie podniesioną została z wiosną, w chwili rozjazdu członkiń Z. K. Z. na wieś, ale nie ułożono programu ani nie wybrano komitetu do zajęcia się tą sprawą.

Dobrowolnie ofiarowało się kilka narazie członkiń, mieszkających w Warszawie, a mnie powierzono przewodnictwo. Zwróciłyśmy się do kółek Z. K. Z., oraz do osób, interesujących się przemysłem ludowym, z prośbą o składanie deklaracyi co do uczestnictwa w wystawie.

Zamiarem naszym było, aby wypełnione deklaracye były zarazem materyałem statystycznym co do rozwoju w danej miejscowości przemysłu ludowego.

Niestety, na kilkaset rozesłanych ankiet odebraliśmy odpowiedzi 16, komitet wystawy miał więc ciężkie zadanie do spełnienia, będąc mało obznajmiony ze źródłami, do których zwracać się należało.

W końcu maja dopiero zaczęły nadchodzić oferty, gdyśmy już zwątpiły, czy zdołamy zgromadzić dostateczną ilość okazów, by zapełnić Świetlicę i donajęty lokal.

To opóźnienie przysporzyło niemało trudności i pracy, zmuszając nas w ostatniej chwili obmyślać sposoby rozmieszczania przedmiotów i wciągania ich w księgi. W tych warunkach nie mogło też być mowy o porządnej klasyfikacyi działów.

Upiększeniem zajęło się kilkanaście pań, poświęcając dni całe na przygotowywanie wycinanek. Serdecznem podziękowaniem płacimy im dziś za koleżeńską tę pomoc, a szczególnie pp. Stanowskim i p. Kotarbińskiej, którzy choć do Stowarzyszenia nie należą, pracą i gustem estetycznym przyczynili się do uświetnienia naszej wystawy.

Wielką pomocą, radą i doświadczeniem był dla nas Dr. Benni, któremu słowa podzięki i uznania składa komitet.

Kółka Z. K. Z. ochotnie i gorliwie w ostatniej chwili zgłosiły się z chęcią wzięcia udziału w wystawie.

Na naszej liście wystawców figuruje zbiorowych kółek Z.K.Z. 30. Z tej liczby pierwsze miejsce należy się kółku ,,Przodownica", które — godne swej nazwy — dało największą ilość, rozmaitość i jakość przedmiotów.

Kółka Podlaskie najliczniej były reprezentowane. W wyrobach tych brak był tylko barwności i może z tej przyczyny mniejszą cieszyły się pokupnością.

Następne miejsce należy się: Kółkom ziemi Mazowieckiej, Płockiej, Łomżyńskiej, Lubelskiej, Piotrkowskiej i Suwalskiej. Z ziemi Radomskiej jedno kółko, z Kieleckiego nic kółka nie przysłały.

Poza kółkami miałyśmy wśród wystawców pojedynczych członków Z. K. Z. 25-ciu; ochron, których wyroby miały związek z drobnym przemysłem, było 8, resztę wystawców stanowią: Tow. popierania przemysłu ludowego, Tow. Krajoznawcze, Związek ,,Dźwignia", Spółki włościańskie Lisków, Frampol, p. Rudomina z Hołonetów, hr. Komar, pp. Apoznańscy i wielu innych, ogółem 57 poza Kołem.

Co do działów:—pierwsze miejsce zajęło tkactwo, mianowicie: płótna z Suwalskiego, pasiaste włościańskie tkaniny, kilimy ,,Polska Gospodyni", szewioty, wełny, półwełny, szaliki z kółka Siennickiego, bombaki i koszule haftowane z Podola; te ostatnie literalnie rozchwytano, tak dla gustownej roboty, jak i dla taniości.

Drugie miejsce zajęło guzikarstwo. Wyróżnione były i rozkupywane guziki z masy perłowej, bardzo tanie, p. Zawadzkiej.

Wogóle na wystawie sprzedano guzików 1358 tuzinów.

Trzecie miejsce należy się koszykarstwu; praktyczne wyroby z Siekierek i Augustówki hr. Potulickiej były rozkupione.

Czwarte—koronkarstwu p. Rudomina z Hołonetów (gub. grodzieńska) pokup duży i ta gałąź przemysłu ma dużą przyszłość przed sobą.

Piąte miejsce należy się garncarstwu. Ozdobne garnki z Pawłowa zostały rozkupione odrazu i sprowadzone powtórnie także znalazły zaraz nabywców. Dział ten ma zatem również przyszłość przed sobą, o ile równie starannie, jak na wystawę, będą wykonywane.

Szóste miejsce miały sztućce drewniane z Uhra.

Siódme. Poszukiwane były i chętnie nabywane pantofle z rafyi i sznurków, roboty z ochron.

Zabawkarstwo, z domu zarobkowego w Lublinie i szkoły im. Blocha w Nałęczowie zasługuje też na wyróżnienie, jako jedna z pierwszych prób tej gałęzi przemysłu krajowego.

W cyfrach rachunek wystawy przedstawia się następująco:

Dochód za wejścia	rb.	1003	kop. 93
Procent od sprzedaży	rb.	160	kop. 51
Razem	rb.	1164	kop. 44
Rozchód	rb.	411	kop. 37
Razem	rb.	116	kop. 44

Pozostało więc netto rb. 753 kop. 7.

Ze sprawozdania powyższego widzą panie, że wystawa była potrzebną i użyteczną. Dała nam cenne wskazówki, które gałęzie przemysłu ludowego warto rozwijać, w jakim kierunku prowadzić i daje nam nowe pole do pracy w Zjednoczonem Kole.

W obec zbliżających się długich wieczorów, czas jest najstosowniejszy, aby to podnieść po dworach, wsiach i ochronach, zachęcić ręce do pracy, a myśli do projektów.

Ze swej strony ofiarujemy tu w Świetlicy miejsce i ochotną pomoc w zajęciu się zawsze podobnym pokazem, proponując, aby co rok przedmioty przemysłu, wyprodukowane przez zimę, mogły być wystawione i spieniężone poza stałą sprzedażą w wydziale ekonomicznym.

Do tego sprawozdania p. Weychertówny dodać należy, że jej niezmordowanej pracy i systematyczności, zawdzięcza wystawa swą składność, wzorowy ład i pomyślne rezultaty.

Posiedzenie wydziału ekonomicznego odbyło się dnia 12 października, w nowym lokalu Świetlicy przy ul. Kopernika Nr. 14. Przewodnicząca wydziału, p. Rodziewiczówna przywitała zebrane panie serdecznie na nowej siedzibie, poświęcając gorące słowa żalu pamięci niestrudzonej wiceprzewodniczącej Koła Ziemianek, p. Chełmickiej, której tragiczna śmierć ciężkim ciosem dotknęła Stowarzyszenie. Pamięć zmarłej uczczono przez powstanie, a doktorowa Kosmowska w pięknem przemówieniu, wywołała żywo postać tej ewangelicznej niewiasty i ujęła dzieje dobroczynnego jej żywota.

„Gdy pisma rozniosły żałobną wieść o wypadku w Dziewanowie, dreszcz przeniknął nasze serca; jakto, więc los zesłał tak straszne cierpienia, a potem śmierć okrutną kobiecie tak dobrej, a nadewszystko tak pożytecznej, tak potrzebnej; trudno umysłem rozwikłać tę zagadkę losów ludzkich.

A jednak, gdy się wzrokiem duszy ogarnie ten przerażający zamęt, w którym żyjemy, ten rozdział społeczny i bezprzykładną rozterkę klasową — gdy pomyślimy, że przygotowały je nietylko warunki zewnętrzne, ale i nasza egoistyczna martwota, to o śmierć męczeńską tej ziemianki, która nie znała różnicy między swojem, a chłopskiem dzieckiem, ale pielęgnowała je z równem poświęceniem, będzie bolesną, ale i piękną kartą w naszem życiu społecznem, będzie wzniosłym przykładem, zdolnym poruszyć najlepsze uczucia, złożone, wierzę w to mocno, w każdej polskiej duszy niewieściej.

Spłonęła jak żywa pochodnia, ta jedna z najlepszych, aby nam oświecić drogę miłości, współczucia i obywatelskiego obowiązku pracy dla ciemnych i wydziedziczonych".

Słowa te głębokie uczyniły wrażenie na zebranych i jaknajszerszem echem winny się rozejść po całym kraju.

Następnie odczytała p. Majlertowa sprawozdanie z działalności bazaru spożywczego za pierwsze półrocze istnienia. Z inicyatywy wydziału ekonomicznego utworzona została w „Świetlicy" w osobnem na ten cel pomieszczeniu sprzedaż detaliczna i hurtowa produktów wiejskich, nadsyłanych przez Ziemianki. Przychód ze sprzedanych towarów wynosił 3294 r. 60 kop. w ciągu półrocza. Rozchód za kupiony towar 2855r. 70 kop., pozostało zatem 440 r. 90 kop. zysku, z czego na opłatę lokalu, personelu i transportów wydano 291 r. 41½ kop. Czystego zysku przyniósł zatem bazar w pierwszym półroczu 149 r. 81½ kop., co należy uważać za wynik bardzo pomyślny, jak na początek. Pani Majlertowa przeszła po szczególe wszystkie pozycye, określając jakie produkty najbardziej są pożądane, sprzedawano więc w „Świetlicy": wędliny, drób, masło, miód, jaja, owoce i jarzyny (szparagi), konserwy z jarzyn i owoców, wina owocowe i soki. Na zakończenie wypowiedziała p. Majlertowa opinię, którą należałoby jaknajmocniej poprzeć, stawia bowiem bardzo racyonalnie sprawę wszystkich tego rodzaju zbiorowych przedsięwzięć.

„Myśl zjednoczenia się Ziemianek, w celu podniesienia się pod względem ekonomicznym, jest nadzwyczaj doniosłą. Bazar nasz może być początkiem kooperacyi Ziemianek, ale opierać się musi na gruntownych podstawach. Nie ludźmy się, że handel da się prowadzić bez wiedzy fachowej i ścisłej rachunkowości. Jasno się wypowiadając, utrzymuję, że zajęcia w bazarze muszą być wykonywane przez osoby ściśle do tego przeznaczone, bynajmniej nie honorowo, a nie tak jak dotychczas, przez osoby z dobrą, ale nie stałą wolą. Tylko w Zarządzie może być jedna lub dwie osoby, honorowo spełniające swe obowiązki i to z głosem doradczym nie decydującym. Takie jest moje przekonanie, po ułożeniu i sprawdzeniu rachunków z 6 miesięcznej działalności naszego bazaru spożywczego".

Po dyskusyi na temat usunięcia pewnych usterek w prowadzeniu sprzedaży produktów, nastąpił odczyt barona Heydla, z dziedziny hodowli nierogacizny. Sposób ujęcia przedmiotu i opracowania go w lekkiej formie, wysoce interesująco, a zarazem praktycznie, przypomina zupełnie francuskie „causeries", których wdzięku przy treści ścisłej i poważnej nie oddaje dostatecznie nasz wyraz: „pogadanka". P. Heydel mówił tak o hygienie świnek, jak się mówi w Bodinierze na temat, dajmy na to, postaci Moliera i Marivaux. Nie potrzeba dodawać, że taki ton jest bardzo przyjemny dla słuchających, nie nuży uwagi i zachęca do korzystania z nauk zawartych w wykładzie.

Wychodząc z założenia, że hodowla nierogacizny na większą skalę jest koniecznem następstwem racyonalnego gospodarstwa mlecznego, pozostawiającego wiele mleka odtłuszczonego do zużytkowania, stwierdził prelegent, że w tym kierunku mało jeszcze u nas zrobiono i że gospodarstwo świńskie traktowane jest po macoszemu, w sposób pierwotny, bez nakładów koniecznych, a stanowi tylko gałąź t. zw. gospodarstwa kobiecego, z którego dochód traktuje się jako poboczny, „na szpilki" dla pani domu. Tymczasem racyonalna hodowla mogłaby tak jak w Danii, stać się poważną pozycyą w dochodach rolnika, tak większej, jak i małej własności.

Głównym odbiorcą wieprzowiny mogłaby być Anglia, ponieważ jednym z artykułów codziennej potrzeby każdego Anglika jest spożywany na pierwsze śniadanie „bacon", boczek solony, oczywiście stosownie przysposobiony.

W centralnem Towarzystwie Rolniczem poruszona została myśl założenia rzeźni eksportowej, urządzonej specyalnie dla wyrobu i wywozu takich baconów do Anglii. Sprawa jest już o tyle zaawansowana, że na czerwcowem zebraniu tegorocznem ad hoc w tej kwestyi zwołanem, złożono pierwsze zapisy na akcye (po 250 rs). Należałoby tę myśl jaknajusilniej popierać i popularyzować.

Do wyrobu „baconów", które są połówkami wieprzów po odcięciu nóg i głowy podłużnie przekrojonych, nadają się jedynie młode sztuki 6-cio i 8mio miesięczne, ważące od 180 do 250 funtów, notabene z warunkiem, aby były czysto białe. Należy więc zastanowić się, jaka rasa przy dobrem żywieniu może nam dać powyższą wagę w tym wieku. Doświadcze-

nie Duńczyków doprowadza prelegenta do wniosku, że najodpowiedniejsze na wyrób boczków, będą prosięta rasy mieszanej, krajowych macior z angielskim reproduktorem. O tem należy zawczasu pomyśleć, zanim rzeźnia zostania otwarta.

Oczywiście, gdy hodowla traktowana będzie poważnie, „dawny a dotychczas trwający nieraz system lekceważącego traktowania świni, jako najpodlejszego stworzenia na świecie, którego jedynem zadaniem jest dostarczanie kiełbas na Wielkanoc, musi zaginąć tak, jak zaginąć musi ten, aż zanadto w kraju naszym rozpowszechniony typ obsługi chlewnej, składającej się z prastarej, na pół widomej gospodyni, kulawego lub garbatego niedołęgi, lub napół zidyociałego popychadła.

Biedna świnia w takich warunkach wegetująca, bo o życiu niema tu co mówić, jak rok długi i szeroki, ani dostatecznie, ani w swej porze nie nakarmiona, zaniedbana przez główny zarząd majątku, nigdy w porę słomy na legowisko nie otrzyma, nigdy chlewna obroczarnia odpowiednich nie posiada zapasów, a hodowla i dochód oczywiście wątpliwej wartości, oparte na pokrzywach i chwastach, w najlepszym razie po kopaniu na drobnych t. z. świńskich kartoflach". W dalszym ciągu obala p. Heydel przesąd, jakoby świnia była „dla swego niechlujstwa słusznie tak nazwana". Przeciwnie żadne zwierzę nie odwdzięcza się tak za czyste pomieszczenie, a 90% zaraz, będących plagą chlewni, wynika z braku czystości i dezynfekcyi. Chlew zatem ma być widny, obszerny, przewiewny, w zimie zabezpieczony od zimna. W najcięższe mrozy należy przepalać koksem w żelaznych piecykach. Nawóz winien być codziennie wyrzucany, a co kwartał najmniej, należy gruntownie chlew dezynfekować za pomocą wymycia ostrym prądem wody z sikawki i rozpryskania wapna, aparatem o typie „Fix" lub „Apollo". W dalszym ciągu objaśnia prelegent szczegółowo, jak należy urządzać klatki dla macior z prosiętami, jakie mają być koryta, jak ważny jest dla zdrowia młodzieży chlewnej ruch na świeżem powietrzu, i możność rycia na okólniku. Świnia ryjąc, zajada wilgotną ziemię i piasek, przez co dezynfekuje sobie jelita. „I dlatego to hodowla poważna nie da się pomyśleć bez obszernych okólników, wśród ocienia drzew, które należy płotkami przed ostrym zębem świni zabezpieczyć. Bardzo ważne jest urządzanie w obrębie okólnika, o ile to możliwe, brukowanej lub cementowanej sadzaweczki. Do korytek prosięcych radzi prelegent dodawać antymonium crudum, dla dezynfekcyi kiszek. Na zakończenie wreszcie kładzie nacisk na ważność pastwiska pod względem hygienicznym i hodowlanym; zaznaczając, że najlepszem dla świni pastwiskiem, jest młoda koniczyna czerwona, następnie ściernisko, wreszcie ziemniaczyska i buraczyska.

Zachętą do prowadzenia racyonalnej hodowli i brania udziałów na rzeźnię centralną zakończył prelegent swoją pogadankę, poczem rozwinęła się dyskusya, tycząca szczegółów omawianej kwestyi.

Znaczne zainterosowanie wzbudziły trzydniowe praktyczne kursa p. Henikowskiej i Majlertowej, obejmujące naukę wyrobu konserw sterelizowanych w słoikach z fabryki krajowej. Słoiki nabywać można za pośrednictwem wydziału ekonomicznego.

Tegoroczne wakacye nie minęły bezowocnie dla Koła Ziemianek: zorganizowana została wycieczka do Czech, w której wzięło udział 16 uczestniczek. Program wycieczki obmyślony został znakomicie, nietylko bowiem wystawa w Pradze interesowała ziemianki, ale przedewszystkiem życie stowarzyszeń i instytucyi kobiecych w Czechach, urządzenia szkolne i gospodarstwa wiejskie. Dlatego na zwiedzenie wystawy poświęcony był jeden tylko dzień, a reszta czasu zużytkowana nadzwyczaj pracowicie na zaznajomienie się z instytucyami i ludźmi. Gorącego przyjęcia doznały ziemianki od pań czeskich, które ułatwiały im wszystko z serdeczną gościnnością. Nić sympatyi zadzierzgnęła się już dawniej, za pośrednictwem p. A. Smiskowej, Polki, zamieszkałej w Pradze (korespondentki Bluszczu), która i teraz przewodnictwem swem przyczyniła się niezmiernie do szybkiego zoryentowania się naszych pań, co przedewszystkiem widzieć należy.

Dwa główne ogniska kobiecej pracy gospodarczej w Pradze, to domy kobiece: Domastnost i Zastica. Pierwsza mieści wzorową szkołę kucharską, druga szerszy ma zakres, gdyż oprócz szkoły gospodarczej jestto wielki pensyonat, bardzo niedrogi dla dziewcząt i kobiet pracujących. Domy te są zupełną własnością stowarzyszeń kobiecych. Z Pragi wyjechały ziemianki do miasteczka Hrudima, gdzie bardzo serdecznego doznały przyjęcia od prezydenta miasta, pani Trachtowej, przewodniczącej szkoły gospodarczej i posła Pippicha z małżonką. Miasteczko to jest szczególne, iż na 14 tys. mieszkańców, posiada 23 szkoły, w tem oprócz elementarnych i średnich, kilka zawodowych. Po zwiedzeniu gmachów szkolnych (podczas wakacyi szkoły były oczywiście nieczynne) po przyjrzeniu się bogatym zbiorom szkolnym i pomocom naukowym, które rzeczywiście są tam imponujące, wycieczka udała się do wsi Koczi, dla zwiedzenia gospodarstw wiejskich. Dobrobyt drobnych właścicieli rolnych, ich porządek, ich potrzeby kulturalne, rzucają się w oczy.

W mieszkaniach czystość wzorowa, zaprzęgi, któremi przysłano na stacyę, to wygodne powoziki, w domach nierzadko fortepian. a wszędzie książki własne. Spotkały się tam nasze panie z tłumaczeniami Sienkiewicza i Mickiewicza, obok wszystkich arcydzieł literatury czeskiej.

Przyjęcie bardzo serdeczne, gospodarze przy podwieczorku przemawiali z wyrażeniem uczuć braterstwa. Na ogół kobiety nie zajmują w tem życiu wiejskiem wybitnej roli, są raczej nieśmiałe i nie wysuwają się naprzód. W Ołomuńcu, dokąd następnie udała się wycieczka, zwiedzano Pötingeum, szkołę zawodową dla kobiet, założoną przez inicyatora tego ruchu, radcę Pötinga; dwa skrzydła wielkiego gmachu zostały już dobudowane przez stowarzyszenie, opiekujące się instytucyą, na 240 tys. koron zaciągnięto pożyczki bankowej. Wogóle stwierdzić należy, że Czeszki dążą zawsze do posiadnia dla każdej swej instytucyi, czy klubu — własnego gmachu, nie lękają się w tym celu zaciągania pożyczek, z których oczywiście przy nizkiej stopie procentowej i dobrym zarządzie, wypłacają się doskonale z biegiem czasu.

Jakżeby u nas było to pożądane!

Ostatnim etapem wycieczki, była wieś Przykaz na Morawach, cała oświetlona elektrycznością, ze wszystkiemi motorami elektrycznymi, posiadająca obory z bydłem zarodowem, takież chlewnie i gospodarstwo, będące ostatnim wyrazem postępu.

Za rzecz wielkiej wagi uważać należy to, że już zostały nawiązane te stosunki, z których niejeden wzór, w razie potrzeba można będzie zaczerpnąć.

Podczas tego lata, wyjeżdżały również panie, należące do Zarządu Z. K. Z. do Szwecyi i Norwegii, a rezultatem swych spostrzeżeń co do znakomitego szkolnictwa północnych tych narodów, podzielić się ma p. Warnkówna na posiedzeniu pedagogicznem dnia 10 listopada. Drugi referat wypowie p. Smiskowa z Pragi „o kobiecych szkołach gospodarczych" w Czechach.

Jak widać z niniejszego sprawozdania, działalność Z. K. Z. rozwija się pomyślnie, a żywotność jego coraz się zwiększa.

J. Oksza.

Przemysł ludowy.

Jesteśmy społeczeństwem dziwnie skorem do złudzeń. Lada artykuł dziennikarski, wystawa prowincyonalna, napełniają nas odrazu przeświadczeniem, że w naszym ciemnym, zaniedbanym kraju wszystko idzie jaknajlepiej. Trzeba dopiero jakiegoś niedyskretnego statystyka, który na podstawie cyfr wykaże, że w danym zakresie albo nic albo bardzo mało zrobiono, abyśmy uwierzyli, jak daleko stoimy po za innymi narodami.

Tak było i z naszym przemysłem ludowym. W ciągu jednej wiosny urządzono aż dwie wystawy — jedną w Łowiczu, gdzie lud okoliczny ubiera się w barwne samodziały, drugą w „Świetlicy" Ziemianek.

Aż oczy bolały od nagromadzonych tam krasnych kilimów,

haftu i wycinanek, warszawskie panie nie mogły wyjść z podziwu.

„Jaki też ten nasz lud kulturalny, jak uzdolniony artystycznie, ile pięknych rzeczy wyrabia;" — przemysł ludowy stał się naraz modny, rozkupiono wszystkie przedmioty ku ozdobie mieszczańskich saloników.

Takie to wszystko było jakieś egzotyczne, oryginalne. Tymczasem w zachwycie swym zapomniano, że wystawa ta miała przedstawić pracę wytwórczą 12-to milionowego narodu, którego lwią część stanowi lud, że jeżeli całą produkcyę pomieścić mogły małe salki „Świetlicy", to łatwo stąd wyprowadzić wniosek, że tylko mała cząstka naszego ludu zajmuje się przemysłem domowym. Dowodami cyfrowemi stwierdził to mniemanie p. Zdzisław Dębicki w swojej poważnej pracy, opartej na danych, które przyniosła ankieta, rozesłana przed paru laty przez sekcyę drobnego przemysłu. Materyał ten leży dotąd nie wyzyskany należycie — nie zainteresował się nim jeszcze nikt z pośród tych, którzy mają bezpośrednią styczność z naszym ludem, nie posłużył on do praktycznej akcyi w tym kierunku.

To samo nawet objawia się z urządzeniem naszych prowincyonalnych wystaw rolniczych. Ma to być przegląd sił i środków, w celu polepszenia gospodarstw, tak większej jak mniejszej własności. — Sądzić by należało, że o tę ostatnią najwięcej chodzić powinno, więksi posiadacze mogę się przecież kształcić w rolniczych niższych i wyższych zakładach naukowych. Tymczasem włościanie u nas, prawie takich szkół nie posiadają, więc wystawy rolnicze mają być dla nich poniekąd szkołą, zastępującą systematyczne wykłady i praktyczne doświadczenie. Tymczasem stały się one popisem dla wielkich latyfundyów, a gospodarstwa chłopskie biorą w nich udział bardzo mały.

Jedynym może w tym względzie wyjątkiem była wystawa, która się odbyła lat kilka temu w Miechowie. Była ona pierwszą i urządzoną została z inicyatywy p. Godlewskiego, założyciela pierwszej spółki włościańskiej „Jutrzenka". Ilość wystawionych na niej okazów nie była zbyt wielką, ale za to lud walił na nią gromadnie ze wszystkich stron.

Był to objaw jakiegoś żywiołowego instynktu, jakiejś niezmożonej chęci posłuchania, nauczenia się czegoś — wyjścia z dotychczasowej ciemnoty i poprawienia przysłowiowej chłopskiej doli.

Do skromnej, wspólnej uczty zasiedli wszyscy razem — a wśród licznych mów szlacheckich — tych nigdy u nas nie braknie — odzywały się i głosy chłopskie. Nie obeszło się i tu bez zgrzytów; pozór zbratania nie mógł zastąpić rzeczywistej obojętności wzajemnej — wszakże ścieżka od dworu do chaty, nie tylko trawą, jak mówi Konopnicka, ale cierniem i ostami zarosła...

Zgrzytem tym było rozdawanie nagród. Uroczysty pawilon sędziów i zbita przy nim gromada chłopska. Obywatele okoliczni zdobyli się nawet na hojność niezwykłą, pługi, krowy, konie, stanowiły nagrody.

Serce się jednak ściskało z bólu, gdy się widziało z jaką nieufnością włościanie przyjmowali te dary — wprost zrozumieć nie mogli, żeby im się dostać mogły — podejrzewali że jakiś nowy podatek nałożony będzie przez gminę, że będą musieli za to odrobić, a przecież nie było tam obcych żywiołów, tylko synowie jednej matki ziemi, wykarmieni na wspólnej narodowej niedoli.

Dużo ciężkich chwil przeżyliśmy od tego czasu, piorunowa burza, która przeciągła nad krajem — nie oczyściła powietrza, a może pogłębiła jeszcze przepaści społeczne, idea jednak odrodzenia się, przez pracę dla ludu i nad ludem zaczyna powoli przenikać do społeczeństwa.

W ciągu lat ostatnich powstały dwie szkoły gospodarstwa i przemysłu domowego dla dziewcząt włościańskich w Mirosławicach i Kruszynku — uzupełniają one poniekąd, jedyną niższą szkołę rolniczą męską w Pszczelinie.

Zapoczątkowanie jednak przy tym kierunku, było bardzo trudne, niedawno przecież jeszcze rzucano anatemy na doskonałą kierowniczkę szkoły w Kruszynku, panią Dziubińską. Szkołę, która pod jej kierunkiem nadzwyczaj szybko i dodatnio się rozwija, nazwano zbyt postępową, walczono przeciw niej bak zawzięcie, jakby przywilej nędzy i ciemnoty był jakimś specyalnie naszym, talizmanem narodowym, którego bronić trzeba wszelkiemi siłami.

Szkoła w Mirosławicach jest założona zbiorowemi siłami wszystkich kół Ziemianek w kraju — utrzymywana jest z ich składek.

Tutaj zaznaczyć należy, że Czechy, które mają ludność o połowę mniejszą niż my — posiadają takich szkół gospodarczych tak męskich, jak żeńskich 58, — no, ale też i kulturę i zamożność mają inną.

W naszych ludowych szkołach żeńskich, są szeroko uwzględniane zajęcia ręczne, mogące zwiększyć dobrobyt domowy: jak, tkactwo, szycie bielizny, hafty i t. p. — Te kilkadziesiąt dziewcząt jednak, które co roku z nich wychodzą, są kroplą w morzu nieumiejętności i płynącej z niej nędzy. Jak wykazują obliczenia posła Grabskiego, ziemi u nas coraz mniej do podziału, wzrasta zastęp bezrolnych, wzmaga się wędrówka za pracą do obcych, lub też zupełna już emigracya do Ameryki. Tam przynajmniej, w społeczeństwie wyżej stojącem kulturalnie, pracownik nasz oświeca się częstokroć i wyrabia, w Prusach jednak traktowany jak bydle robocze, ulega zupełnemu zdziczeniu. W znacznej mierze zapobiegłoby wychodźtwu rozumne rozpatrzenie i obmyślenie sposobów poprawy bytu włościan na miejscu. Osiągnąć to można najliczniejszem zapisywaniem się do towarzystwa popierania przemysłu ludowego i daniem mu możności, przy zwiększeniu funduszów, do kształcenia instruktorów i dawania zapomóg poszczególnym pracownikom.

Czyż nie byłoby także pożądanem korzystać czasem i z doświadczenia innych?

W Słoweńskiej Kreśnie, gdzie półtora milionowe pokrewne nam społeczeństwo stoi niezmiernie wysoko kulturalnie, kwestyą włościańskiego przemysłu ludowego, zajęła się młodzież uniwersytecka, zarówno jak klerycy seminaryów duchownych. Jest zwyczajem w Kraśnie, że młodzież ucząca się, spędza zwykle wakacye na wędrówkach po kraju, zamieszkuje w chatach chłopskich, żyjąc razem z ludem, wnika w jego potrzeby — i uczy się praktycznie poznawać braki społeczne. Słowem, kształci się tym sposobem na praktycznych działaczy ludowych. Wynikiem wędrówek ostatnich lat było rozpatrzenie się w warunkach przemysłu domowego. Zebrane dane wykazały, że nie rozwija się on wcale, że o ile dawniej stanowił źródło zamożności, teraz ustępuje przed wielkim przemysłem, dostarczającym wszystkiego taniej, lecz w lichszym gatunku, że wskutek tego lud biednieje.

Młodzież ochoczo zakrzątnęła się koło poprawy tych stosunków — zbadała dokładnie jaki rodzaj przemysłu dałby się zastosować w danej okolicy, zależnie od jej warunków, ogłosiła wyniki tych badań w pismach, następnie zawiązała się w towarzystwo i rozdzieliła prace pomiędzy swoich członków. Towarzystwo to przystąpiło wkrótce do niezmiernie pożytecznej instytucyi, jaką jest w Lublanie Związek stowarzyszeń i ta już ze swego ramienia, zaczęła wysyłać wykwalifikowanych instruktorów i dawać zapomogi. Dziś zamożność ludowa w Kraśnie opiera się w przeważnej części na przemyśle domowym, szczególniej w okolicach górzystych, mało mających uprawnych gruntów. Słyszymy często o wycieczkach krajoznawczych naszej młodzieży, że zwiedzają starożytne ruiny i pamiątki, robią kolekcye roślin i motyli — nie zdarzyło nam się jednak nigdy usłyszeć o studyach społecznych, o badaniu ludu, stopnia jego zamożności i oświaty.

(d. n).

D-rowa Kosmowska.